



Nr. 3.

16-go Stycznia

1913.

DOBRY ŚWIADEK.

Opowiadał mi jeden z dowcipnych mecenasów:
— miałem na prowincyi rozprawę karną przed trybunałem przysięgłych. Przewodniczący przesłuchiwał właśnie świadków jednego po drugim. Skonczył przesłuchiwanie nudnego świadka i polecił ordynansowi zaważać do sali innego świadka.
— Ordynans — zawołać tu świadka Nykołę Babiczka!

Ordynans wychodzi a w drzwiach nakazuje się długi dryblas, któremu ordynans wskazał przewodniczącego.

— Ile masz lat? — spytał trochę zirytowany przewodniczący.

— Ależ to nie należy do rzeczy — mówi przysięgły.

— Co ty mi tu będziesz dyktować co należy do rzeczy a co nie — woła oburzony przewodniczący, — gadać zaraz, ile masz lat, bo cię każę zamknąć i basta! Wiec wiele?

— Dwadzieścia dwa — mówi zastraszony.

— Skąd rodem?

— Z Kałusza.

— Jak się rodzice nazywali?

— Jan i Michalina.

— Jakiej religii?

— Grecko-katolickiej.

— A czy ten oskarżony jest twoim krewnym?

— Nigdy w świecie.

— Byłeś kiedyś karany?

— Nigdy w świecie.

— A czy ten oskarżony jest twoim krewnym?

— Ale skąd? Ja go pierwszy raz widzę.

— To złożysz tu przysięgę, że będziesz prawdę mówić w sądzie.

— Ależ na co panie radco, to nie ma sensu.

— Milcz, nie masz co gadać. Musisz przysięgać i basta.

— Ależ ja przecież...

— Cicho! Bo cię zamknę. Upomniadam cię tylko jeszcze, że za fałszywą przysięgę idzie się do kryminału a oprócz tego na tamtym świecie ma się

różne nieprzyjemności. A teraz powtarzaj za mną! Przysięgam

— Przysięgam

— Panu Bogu wszechmogącemu i wszystkim wiedzącemu

— wiedzącemu

— że na wszystko, o co w sądzie pytany będę

— Odpowiadać będę prawdę i nie wiem jak tylko

— tylko prawdę.

— Tak mi Panie Boże dopomóż, amen!

— A teraz gadać!

— Tak mi Panie Boże dopomóż, amen!

— Proszę pana radcy, pan aptekarz każe się klaniać i prosi, aby pan radca był łaskaw przyjść dzisiaj do nas na kolację, bo właśnie zarzneliśmy wieprza. Ja już chodziłem do pana radcy do domu, ale mi mówili, że pan radca jest tutaj, to tu przyszedłem.

Wszystko wzbucha śmiechem a w tej chwili ordynans wprowadza świadka Nykołę Babiczka.



NIEWYGODNY NAKAZ.

Cesarz rosyjski Paweł wydał rozkaz, aby każdy siadający ulicą, spotkawszy go, zaraz stanął, wysiadł i oddał mu przepisany dworski ukłon. Rozkaz ten rozciągał się i do kobiet.

Pewnego razu w błotny, słotny dzień jechał cesarz ulicą, naprzeciw niego ukazała się szybko jadąca karetą. Zrównawszy się z cesarzem, woźnica stanął, a z karety wysiadła wytwornie ubrana dama, aby oddać pokłon. Cesarz żałując jej bogatego stroju, zawołał: „Siadaj pani!” Ale dama zatrwożona nie pojęła trafnie rozkazu cesarza i siadła natychmiast, ale w błoto na ulicy. Cesarz Paweł zeskoczywszy z konia, przybiegł do niej, podźwignął, podał ramię, zaprowadził do karety i wsadził. Od tego czasu dał cesarz wyjątek w swym dworskim rozkazie co do kobiet, aby się coś podobnego nie powtórzyło.



ZEMSTA.

Na dworcu kolejowym w Wersalu panuje gorączkowy ruch; za chwilę ma odejść pociąg pospieszny. Do przedziału pierwszej klasy wchodzi pan M. z zapalonym cygarem w ustach. Zaledwie jednak zdążył zająć miejsce, spostrzega, iż w przedziale znajduje się jeszcze jakaś poważna dama.

Będąc dobrze wychowanym, p. M. odsuwa firankę z okna, chcąc wyrzucić cygaro. Zanim jednak zdążył to wykonać, usłyszał ostrą uwagę:

— Co za złe wychowanie, wchodzić z cygarem do przedziału, gdzie znajduje się kobieta!

— Najmocniej przepraszam! — odzywa się uprzejmie pan M. — Właśnie miałem zamiar wyrzucić cygaro. Ale, zresztą, ja mogę się zupełnie usunąć.

Rzeczywiście p. M. przesiada się do trzeciej klasy.

Obecnym jego sąsiadem jest brudny chłop w podartem, cuchnącem ubraniu i wykoślawionych, zabłoconych butach.

— Mój przyjacielu — pyta go pan M. — czyście często jeździli pierwszą klasą?

— Ani razu — brzmi odpowiedź.

— No to możecie mieć dzisiaj tę przyjemność. Oto jest bilet pierwszej klasy, już mi niepotrzebny. Chodźcie za mną, pokażę wam wasze miejsce.

I usadowiwszy draba w dużych butach obok skamieniałej z oburzenia damy, pan M. dodał, odchodząc:

— A pamiętajcie, mój przyjacielu, nie palić, gdyż dym szkodzi tej pani.

W tej chwili pociąg ruszył.

Jakże słodką jest zemsta!



NOWOŚĆ.

Saul Krautkopf spotyka na ulicy dawnego przyjaciela Izydora Dummkopfa.

— Jak się masz Dummkopf, czemu ty coś taki dzisiaj smutny?

— Jak ja ni mam być smutny, kiedy ja zbankrutowałem i straciłem wszystkie moje pieniądze.

— To — powiada Saul — że ty zbankrutował, to ja wiem, ale że można przy bankructwie stracić pieniądze, to jest dla mnie nowość i to słyszę po raz pierwszy.



DOBRA KUCHARKA.

Przyjaciel (do młodego małżonka): No, jakże się twojej żonie udał pierwszy obiad?

Małżonek: Możesz sobie wyobrazić! Nawet książka kucharska jej się przypaliła.



PRZED LUSTREM.

Że też te zmarszczki muszą się koniecznie robić na twarzy, a nie gdzie indziej.



Z LISTU RZEŹNIKA.

Ponieważ Pan jesteś rzeźnikiem jak ja, zakupiłem dla Pana wołu. Ale, że Pan masz delikatniejsze uczucie w tych sprawach niż ja, przekonasz się, że wół spaśny i tegi jak reszta mojej rodziny, która zasyła Panu swoje pozdrowienie. Niżej 70 talarów jednak nie pozbędę się tego bydła, a na św. Michał prześlę Panu po tej samej cenie jeszcze dwa woły w liście. Są tu u nas i tańsze woły, ale nie są one tyle warte co ja i mój wół. Skopy moje tym razem nie udały mi się tak, jak w zeszłym roku, bom się za mało z nimi wdawał. Proszę też, żeby mi Pan w czasie kiszgowym przysłał partię swoich flaków, ponieważ się nie wdaję zbyt dużo z wieprzami, choć mi tęskno za nimi. Napisz mi Pan też, czy ja i woły mamy przyjechać do Pana przed św. Michałem, bo jak nie, to wezmę je na sumienie swoje na paszę. Bo co tylko mam w głowie, to jest około dziesięciu fur słomy, ale będzie pewno tam sporo więcej i też trochę siana. Zostaję aż do dalszego rozporządzenia z wołami moimi

Pańskim sługą

Anastazy Skopowicz.



NIC W NATURZE NIE ZGINIE.

Było raz sobie bardzo kochające stadło; Ona w kości bogata, a mąż znowuż w sadło, Lecz, że „ona” zadrością „jego” wciąż trapiła, „On” wkrótce jak kość wychudł, a „ona” — utyla.



NA WSI.

— Nad czym to pan dziedzic tak medytuje?

— A no nad przekłętą kwestią żydowską.

— I znalazł dziedzic rozwiązanie?

— Ba, nawet dwa, tylko sęk, które z nich wybrać? Nie wiem, czy mam dobrać pożyczkę od Icka, czy też na nowo pożyczyć od Szmula...



NASZE DZIECI.

— Prawda, proszę taty, że tato z mamą żyje bardzo szczęśliwie?

— Albo co?

— Ot, tak się pytam... bo mama mówi mi zawsze: daj ci Boże kiedyś głupiego męża, a będziesz tak szczęśliwą, jak ja, moje dziecko...



COŚ LEPSZEGO.

— Czy widziałeś już człowieka, polykającego szpady?

— Widziałem coś lepszego.

— Na przykład?

— Pan N. połknął małątek ziemski i dwie kamienice i nawet nie zadusił się.



ARAB I ZARAZA.

(LEGENDA WSCHODNIA)

Gdzieś pod Damaszkiem, raz Beduinowi,
Gdy zbójczy z bitwy powracał do miasta,
Na koniu, który wiatr w pastym łowi,
Drogę wychudła zabiegła niewiasta.
„Spójrz — rzecze — na mnie! zmęczonom i chora,
Wkrótce cień nocy pustynię zaścienie,
A ja w Damaszku muszę być z wieczora,
Weź mnie na konia... nie zaciężę wiele...”
„Kto jesteś? — Arab zapyta zdumiony, —
Ty, której dzielny rumak mój się stracha?...”
„Jestem Zaraza! śmierć straszną w te strony
Niosę, posłuszna rozkazom Allacha!
Jeśli na siodle twym odpocznę chwilę,
Ty i twój rumak żyć będziecie oba,
Z Damaszku ofiar wezmę tylko tyle,
Ile się tobie określić spodoba.
Allah mi kazał miesiąc zostać w mieście,
Oraz zabijać ofiar z każdą dobą
Conajmniej dziesięć, co najwyżej dwieście,
W tej sumie układ mogę zawrzeć z tobą.”
„Kismet...” — rzekł Arab, i na siodła skraju,
Siadła Zaraza. — Niech miasto korzysta...
Dziesięciu dziennie! W Mahometu raju
I tak przez miesiąc stanie wiernych trzysta.
„No a co będzie — zapyta Zaraza —
Jeśli w umowie nie dotrzymasz słowa?...”
„Arabie, spełniam przeznaczeń rozkazy,
Lecz zdrada dla mnie rzecz obca i nowa;
Za miesiąc stanę pod meczetu bramą,
Spytać Allacha dokąd mam pójść dalej?...
Jeśli cię zdradzę, ty przyjdź także samo,
W pierś mą wbić sztylet z damasceńskiej stali...”

W Damaszku trwoga... Wokół zbladłe twarze
Co wieczór modły szła do półksiężycy...
Mór śmierć wciąż szerzy... Już pełne cmentarze...
Pełna żaloby każdziutka ulica...
Lice Araba z boleści pobladło,
O nigdy wierni niewiastom nie wierzyć!
Wprawdzie pierwszego dnia dziesięciu padło,
Potem dwudziestu... sześćdziesięciu wreszcie.
Ot dziś ostatni mija dzień miesiąca,
Jutro zaraza ma się skończyć w mieście...
Ciszę cmentarną krzyk niewiast zamąca,
Dziś już w mogiłach leży trupów dwieście...
Pochwylił Arab nóż długi szeroki...
Straszną ozdobę damasceńskiej zbroi...
Wprost do meczetu kieruje swe kroki...
Patrzy... Zaraza u wrót cicho stoi...
„Tuś mi — zawołał — zdrajczyni przekłeta!
Mowa twa więcej światu nie okłamie!
Zginiesz jak wściekle zdychają szczenieta...”
Lecz Mór wzniesione powstrzymuje ramie.
„Arabie, — rzecze — przed Stwórcy obliczem,
Jestem jak rosa niewinna i czysta...
Naszej umowy nie zdradziłam niczem,
Nie wzięłam ofiar więcej niżli trzysta!”
„Któż zabił resztę? miasto jak po wojnie!
Śmierć nam żadnego nie minęła dachu...”
„Resztę? — odpowie Zaraza spokojnie —
Reszta... umarła ze strachu...”

T. Modrzejewski.

ZAPRZECANY NOS.

Trzech wesóło usposobionych podróżujących się
działo pewnego razu w winiarni w Szegiedynie na
Węgrzech. Gdy w toku mowy jeden i drugi opowie-
dział, z czem podróżuje, oświadcza trzeci ku zadzi-
wieniu obecnych, że skupuje nosy, dodając, iż chętnie
nabyłby potworny nos sąsiada.

— Kwotę za nabyte nosy płacę zaraz, a odbieram
je po śmierci.

— Wielebyś pan dał za mój nos? — pyta chętnie
sąsiad.

— W tej chwili zobaczę — rzecze podróżujący.

I dobywszy cennik i miary wymierza nos sąsiada.

— Sto guldenów dam panu za ten potwór!

— Zgoda — odpowiada sprzedający.

— Lecz jeśli jedna lub druga strona nie dotrzyma
słowa, da za karę dziesięć butelek szampana.

— I na to się zgadzam — rzecze sprzedający.

Handlarz nosów szepnął coś na ucho posługa-
czowi.

Wkrótce zjawia się sługa z rozpalonem żelazem
w rękę.

— Co to... Pan chcesz robić? — zapytuje prze-
straszony właściciel wielkiego nosa.

— Ja, Panie, wszelkie nosy zakupione znaczę stę-
plem swej firmy, co i teraz uczynię.

Wśród śmiechu obecnych wołał nosacz zapłacić
dziesięć butelek szampana, niż pozwolić sobie na ży-
cia spać tak szlachetną część twarzy.

—*—

GOLARZ NA WSI.

Pan Z. zajechał do swoich krewnych na wieś,
gdzie miał zabawić kilka dni. Po kilku dniach chciał
się ogolić, a że sam golić się nie umiał, a we wsi
zawodowego golarza nie było, przeto z porady ekono-
ma zawezwał do siebie parobka Grzeška, który
nauczył się golić przy wojsku i golił na wsi niektó-
rych chłopów.

Grzeško przyszedł, rozłożył swoje ntenzilia
i zaczął rozrabiać mydlinę w miseczce, do której
kilka razy napluł. Pan Z. zdziwił się bardzo i pyta:

— Czemuż ty plujesz do miseczki?

— Bo ja pana bardzo szanuję, to ja pluę do
miseczki, ale jak golę chłopów, to im pluę prosto
na głowę.

—*—

UMIERAJĄCY SKĄPIEC.

Niedawno temu zmarł pewien handlarz w War-
szawie, który przez długie życie zbierał sobie zna-
czny majątek.

W nocy, na kilka chwil przed zgonem, zapalono
lampę przy jego łóżku, a księżyc wtenczas w pełni
świecił.

Umierający raz po raz zwracał swe oczy to na
lampę, to na księżyc. Nagle odzyskał mowę i za-
wołał syna. Ten przybiegł, myśląc, że ojciec da mu
jakieś ważne zlecenia w sprawie spadkowej.

— Synu, — rzekł skąpiec coraz bardziej słab-
nącym głosem, — zgas lampę, teraz nafta tak droga,
księżyc świeci w pełni, trzeba być oszczędnym!



HEJ! UŻYJMY ŻYWOTA!

Hej użyjmy żywota!
 Rzekł młodzian Pannie raz.
 Używać chciał biedota
 Jej wdzięków, kształtów kras.
 Lecz ona jemu na to:
 Żaluję bardzo ja,
 Lecz z takim tylko idę
 Który pieniądze ma.

Hej użyjmy żywota!
 Rzekł mąż do zony swej.
 Z chwałupy biedz, niecnota,
 Chciał uciec biedy swej.
 Lecz baba z miotłą w dłoni,
 Rzecze: Tu radość twa!
 Niech hula ten kto wolny
 I czas i pieniądze ma.

Hej użyjmy żywota!
 Tak nuci starzec se,
 Lecz wnuki, syny, lata
 Każą mu liczyć swe.
 Co tobie, stary dziadzie,
 Teraz używać chcesz?
 Do tego brak ci siły,
 Więc milcz i cicho leż.

Hej użyjmy żywota!
 Tak piosnka ciągle brzmi.
 Lecz kiedyż to używać?
 Powiedzieć pan twoje mi.
 Gdyś młody nie miał groszy,
 Wolności, kiedyś mąż,
 Na starość nie masz siły,
 Tak całe życie walaj.
Wielki Polak.

—*—

NIESZCZĘŚCIE NIE CHODZI SAME.

Wycieczkowicz: Kochany człowieku, zabierasz mi wszystkie pieniądze, a co na to powie moja żona?

Opryszek: Co? żonaty pan jesteś? niewiedziałem! Daję ci czampradę obrączkę złotą.

—*—

NOWOCZESNE KWY.

Ojciec: Co widzę, Stefcie, ty palisz papierozy?

Stefcia: No, chyba ojczulek nie będzie ode mnie żądał, abym fajkę paliła....

—*—

TRAFIŁ NA SWEGO.

Pewien pan, który zaadto nosa zadzierał, spotkał, przejeżdżając przez wieś, chłopca pędzącego osła przed sobą, wrzasnąć tedy na niego:

— Idź przód z twoim osłem! Kosa mój nie może osła ścierpieć!

— Tak! — odparł wosniak. — dlaczego więc Pana ze siebie nie zrzuci?

DORAŻNA ODPOWIEDZ.

Na weselu pewnego bogatego kupca w Ameryce byli między zaproszonymi gośćmi ksiądz katolicki i rabin żydowski.

Podawano suto potraw na stół, ale rabin od niektórych potraw się wstrzymywał, a mięsa wieprzowego to już ani ruszył, i sam zapach pieczenia wieprzowej zdawał się go razić.

— Kiedyż się to doczekamy, — rzekł rabin do księdza siedzącego obok niego, — że będziemy mogli tak siedzieć na weselu księdza katolickiego?

— Wtedy, kiedy pan będzie z nami jadł wieprzwinę. — odpowiedział ksiądz.

—*—

NIEPOPRAWNY

Stary kawaler: To życie po restauracjach już mi naprawdę gardłem wylazi.

Niemłoda panna: Na to jest przecież sposób, ożeń się pan!

Stary kawaler: Ma pani rację! Przez ożenek może znowu stare upodobanie się znajdzie.

—*—

Razu jednego monarcha zmęczony dla odpoczynku zatrzymał się w klasztorze Kamedulów a zdjęty ciekawością, zagadnął jednego z braciszków:

— No i cóż? Wiele jest mil do słońca?

— Dwa miliony mil — odrzekł braciszek.

— A to jakim sposobem?

— Jeśli Najjaśniejszy Pan nie wierzy, niech każo zmierzyć.

Król widząc, że niepodobieństwo sprawdzić, nie mógł mu zaprzeczyć, ale pyta go znowu:

— A gdzie środek ziemi?

— W tem miejscu, gdzie Wasza Król. Mość stoi.

— A to znowu jakim sposobem?

— Jeśli Najjaśniejszy Pan także i temu nie wierzy, niech także każo sprawdzić.

—*—

Katolicki biskup Stanów Zjednoczonych stracił starego konia, na którym odbywał swe wizyty pasterskie i musiał wsiąść do woza pocztowego, gdzie siedział już pastor anglikański. Ten chcąc drwinkami upokorzyć biskupa przed innymi podróżnymi, odzywa się do niego żartobliwie:

— Aha! zdaje się, że Wasza Biskupia Mość lubi także podróżować na miękkich poduszkach. Co się stało z waszym koniem?

— Przestał żyć. — odpowiedział biskup łagodnie i pokornie.

— Biedne zwierzę, — ciągnął dalej pastor, — Wasza Biskupia Mość nie mogła mu zapewne udzielić ostatnich Sakramentów św.?

— Nie panie, — odrzekł prałat, uśmiechając się złośliwie.

— A dlaczego?

— Bo był tego wyznania, co pan.

Nieszczęśliwy pastor zamilkł i stał się przedmiotem wyśmiewania się towarzyszy podróży.